



Pożegnanie Michała Koziola

2026-10-28

W tym miejscu powinien pojawić się nowy felieton Michała Koziola, ale od 2 października wiemy, że nie będzie już kolejnej opowieści o starym Krakowie snutej przez wybitnego znawcę jego dziejów. Straciliśmy bodaj najbardziej sumiennego ze wszystkich autorów publikujących przez lata na łamach miejskiego magazynu - choć felieton historyczny zwykle znajdował się na jego końcowych stronach, to do skrzynki redakcyjnej zawsze przychodził jako pierwszy.

Przez 18 lat Pan Michał ani razu nas nie zawiódł, zarówno pod względem rzetelności i terminowości, jak i doboru tematu - zawsze był on ciekawy, nierzadko zaskakujący, odszukany w zakamarkach archiwów i bibliotek podczas godzin spędzonych na lekturze materiałów źródłowych. W felietonach przesiąkniętych na wskroś starym Krakowem ich autor nie tylko odwoływał się do ważnych wydarzeń historycznych i przybliżał kultowe miejsca, ale także sięgał po intrygujące wątki kryminalne czy obyczajowe. Robił to w swoim niepowtarzalnym stylu - barwnie, szczegółowo, ze swadą i odrobiną humoru. A także przepiękną, niepowtarzalną, wysmakowaną polszczyzną. Właśnie to wszystko sprawiało, że Pan Michał miał swoich wiernych czytelników, którzy często lekturę KRAKOWA.PL rozpoczynali „od końca”.

Gdy proponował temat do kolejnego felietonu, zwykł mawiać: „Jak zapewne pani wie”, po czym następowało krótkie wprowadzenie do historii, o której - jak łatwo się domyślić - pozostała część redakcji miała dość mgliste pojęcie. Będzie nam tego bardzo brakowało.

redakcja KRAKOWA.PL

Przynależni, uczestnicy, obcy

Pierwszy felieton Michała Koziola opublikowany w dwutygodniku miejskim KRAKÓW.PL w lutym 2008 r.

„Mam żonę w Krakowie i maszynę, i trzy dzieci. Chcę uczciwie pracować, a ci panowie z policyi mnie z domu wypędzają cięgiem i kazuja w Ciężkowicach mieszkać, gdzie mnie nikt nie zna. Ja tam chyba z głodu pomrę. Taż ja krakowskie dziecko; trzydzieści lat w Krakowie mieszkam, a teraz mnie wysiupasowali!”

Słowa te padły na krakowskiej sali sądowej w styczniu 1901 r., kiedy to sąd powiatowy karny w Krakowie rozpatrywał sprawę pewnego rzemieślnika złapanego „na gorącym uczynku rewersyi”.

Świadkiem w tej sprawie był agent policyjny Mojżesz Dunkelblum. To on złapał i aresztował oskarżonego. Jego też zeznania, złożone pod przysięgą służbową, doprowadziły do skazania podsądnego na dziesięć dni aresztu. Czym jednak zawinił ów rzemieślnik, że spotkała go taka kara?



Otóż przebywał on w Krakowie, chociaż krakowska policja w drodze administracyjnej zakazała mu pobytu w mieście. Nie był on bowiem „przynależny do gminy” i musiał się liczyć z tym, że w razie popełnienia jakiegoś wykroczenia zostanie z Krakowa usunięty. Z jakichś przyczyn uznano go za niepożądanego i wydano go z miasta. Ponieważ mimo to powrócił, został skazany przez sąd i osadzony w areszcie.

Współczesne prawo nie zna pojęcia „przynależności”. Obowiązująca definicja gminy stwierdza, iż jest to wspólnota samorządowa mieszkańców na odpowiednim terytorium. Jednak w praktyce większą wagę przywiązuje się do słowa „terytorium” niż do słów „wspólnota samorządowa mieszkańców”.

Kiedyś gminę rozumiano jako grupę ludzi. Nie musieli oni nawet mieszkać na terenie danej gminy, musieli być jednak do niej „przynależni”. „Przynależność” dziedziczyło się po rodzicach lub zyskiwało w drodze specjalnej uchwały rady gminnej. Warto podkreślić, że zgodnie z obowiązującym w monarchii habsburskiej prawem, w tym wypadku nie można się było odwołać od podjętej przez radnych decyzji. Teoretycznie nawet sam Najjaśniejszy Pan nie był w stanie interweniować, gdyby rada gminna uznała jakąś osobę za niegodną zaliczenia w poczet pełnoprawnych członków gminy.

Rada, podejmując decyzję o nadaniu prawa przynależności, ustalała jednocześnie wysokość opłaty, jaką nowy Krakowianin musiał wnieść do kasy miejskiej. Opłata ta uzależniona była od zamożności kandydata na obywatela i wahała się od 20 do 200 koron. Zdarzały się precedensy, iż krakowska Rada Miejska przyznawała prawo przynależności cudzoziemcom. Z reguły byli to Polacy i Żydzi z zaboru rosyjskiego. W takim wypadku przynależność była warunkowa, gdyż otrzymujący ją musiał uzyskać obywatelstwo austriackie. Zdarzało się jednak, iż niektórzy nowi Krakowianie zaniedbywali dopełnienia tej formalności. Nie przeszkadzało im to żyć w mieście, a nawet piastować poważne funkcje. Tak było w wypadku pochodzącego z Królestwa przemysłowca nazwiskiem Marcin Jarra. Początkowo prowadził on w Krakowie filię warszawskiej firmy Norblin. Później założył własne, bardzo dobrze prosperujące przedsiębiorstwo. Jako poważny przemysłowiec, został wybrany do Rady Miejskiej. Już w czasie I wojny światowej okazało się nagle, iż *de iure* jest ciągle poddanym rosyjskim, a więc obywatelem wrogiego państwa.

Problem jednak szybko rozwiązano. Marcin Jarra – jak odnotowano w aktach miejskich – 20 marca 1915 r. złożył stosowną przysięgę wiernopoddania, ucinając w ten sposób wszelkie wątpliwości w kwestii swojego obywatelstwa.

Przynależność nie tylko chroniła przed odszupasowaniem. Wyłącznie osoby przynależne do gminy mogły w przypadku zubożenia domagać się wsparcia z jej strony. Trudno się więc dziwić, iż krakowska Rada Miejska o wiele chętniej przyznawała przynależność osobom zamożnym, co do których nie zachodziła obawa, iż będą w przyszłości oczekiwać zapomogi lub miejsca w przytułku.

Drugą kategorią mieszkańców byli „uczestnicy”. Nazywano tak osoby, które nie mając przynależności, mieszkaly w Krakowie oraz były właścicielami położonej w mieście nieruchomości lub opłacały podatki z racji prowadzonej działalności gospodarczej. „Uczestnikom” przysługiwało bierne i czynne prawo wyborcze w wyborach do Rady Miejskiej. Nie mogli jednak w wypadku zubożenia oczekiwać wsparcia ze strony gminy.

Ostatnią kategorią mieszkańców byli „obcy”. Nieprzynależni do krakowskiej gminy, niemający



nieruchomości ani nieprowadzący działalności gospodarczej, musieli się liczyć z możliwością usunięcia z miasta jako osoby niepożądane. Rzecz jasna, po takie drastyczne środki sięgano wyjątkowo. Nieszczęsny rękodzielnik rodem z Ciężkowic musiał w jakiś sposób narazić się krakowskiej policji, skoro został usunięty z Krakowa. Choć, jak twierdził, posiadał maszynę – niestety nie wiemy jaką – nie został zaliczony do „uczestników”, lecz nadal był „obcym”. Każdy „obcy” musiał także pamiętać, iż może zostać oskarżony o włóczęgostwo. Mogło to mieć przykre konsekwencje.

Przepisy prawne wyraźnie stwierdzały, że „jest obowiązkiem władz administracyjnych i policyjnych, zwierzchności gmin i organów bezpieczeństwa przetrzymywać włóczęgów. W tym celu [...] zarządzone być mogą obławy, które są albo ogólne krajowe (powiatowe), albo w pojedynczej tylko gminie się odbywające [...] do przedsięwzięcia takiej obławy urzędnicy i zwierzchności gminne i inni, tudzież inne osoby, na które się spuścić można, użyte być mają. Te osoby przeszukują najdokładniej – zszedłszy się przed wschodem słońca przed domem naczelnika gminy lub w innym wyznaczonym miejscu pod przewodnictwem urzędnika – najsamprzód w miejscu samem wszystkie domy, piwnice, strychy, stodoły i inne podejrzane kryjówki, a potem rozejdą się po różnych bezdrożach, gajach, lasach, wizytując po mniejszych wsiach, a po odległych cegielniach, gospodach, szynkowniach, szałasach itd., aby się w końcu na pewnym oznaczonym miejscu razem zejsść. Na to miejsce wszystkie przytrzymane podejrzane osoby przyprowadzone być mają, skąd do właściwej władzy odesłane zostaną”.

Nie tylko przy obławach, lecz także przy innych sposobnościach „zwierzchności gminne na wążających się bez zatrudnienia żołnierzy wysłużonych, żebraków, próżniaków, służących, kramarzy bez upoważnienia, rzemieślników bez ważnych książeczek roboczych, a szczególnie na targach, jarmarkach i odpustach, gdzie takie włóczęgi po największej części się znajdują – baczne mają mieć oko i zarządzać niespodziane wizytacje po drogach, gościńcach, około przewozów i po innych podejrzanych domach i miejscach.

Osoby przy obławach przytrzymane być mają protokolarnie pytane:

- a) o miejsce urodzenia,
- b) skąd przybywają,
- c) gdzie się w ostatnich dniach zatrzymywały, żebrały i przytułek znalazły,
- d) czyli nie były już karane albo wydalone itd.

Włóczęgi, którzy nie podają miejsca urodzenia, którzy fałszywie podają miejsce pochodzenia, mogą być znagani do szczerých zeznań przez post. Jeżeliby przytrzymani winni byli zbrodni lub o takową podejrzani, sądowi wydani być mają. W ogólności przytrzymani w przeciągu dni 3 na miejsce przeznaczenia odesłani być mają”.

Włóczędzy, a takich w habsburskiej monarchii nie brakowało, mieli własne określenia na opisane wyżej urzędowe czynności. Nielegalny pobyt w mieście nazywali „klinem”. Konsekwencją „klina” mogło być „kółko” lub – jak mawiano we Lwowie – „koleso”, czyli odesłanie do miejsca przynależności. Jeżeli zatrzymany miał na sumieniu coś więcej niż nielegalny pobyt w mieście, musiał się liczyć z zamknięciem w „Domku loretańskim”. Tak pieszczotliwie nazywano sławne więzienie w Wiśniczu.